

IV Białostockie Spotkania Muzyczne

Coraz trudniej pisać o muzyce w Białymstoku, z coraz większą niechęcią to czynię. Najchętniej, miast iść na koncert do Filharmonii, włączyłbym stereofoniczny odbiornik, gramofon, magnetofon; jeszcze bywają interesujące płyty (choć nie polskie) i atrakcyjne audycje. Kiedy tak trudno dojechać na Podleśną z odległych osiedli mieszkaniowych, jedynie atrakcyjny repertuar i atrakcyjny poziom jego wykonania byłby w stanie wyciągnąć z domów zmęczonych Białostoczan, wtłoczyć ich do pojawiających się tu i ówdzie autobusów, lub zmusić do polowania na taksówkę. Nawet impreza, która miała dotąd dobrą przecież markę — Białostockie Spotkania Muzyczne — nie była już w stanie, w połowie przynajmniej, wypełnić niewielkich przecież salonów białostockiego przybytku Polihymnii. Ci, co pozostali w domach, nie mają jednak czego żałować. Myślę, że spora część melomanów śledziła — za pośrednictwem doskonałych transmisji stereofonicznych — przebieg odbywających się właśnie w Poznaniu finałowych przesłuchań VIII Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego. Są to co prawda tylko domysły (poparte wynikiem niewielkiej sondy), tym niemniej pokrywanie się terminów obu imprez na pewno nie przysporzyło Spotkaniom słuchaczy. A zainteresowanie mogłoby być znacznie większe, gdyby wykorzystano szczęśliwe rozwiązanie z ubiegłego roku — recital laureatki Konkursu Chopinowskiego. Wówczas zainteresowanie Konkursem wsparło atrakcyjność białostockiego recitalu Tatiany Szabanowej; w tym roku — zapraszając kogoś z laureatów Konkursu Skrzypcowego im. H. Wieniawskiego i przesuwając o kilka dni całą imprezę, można by wydatnie zwiększyć jej atrakcyjność. Już widzę te tłumy ciągnące na występ którejś z rewelacyjnych skrzypaczek japońskich...

Cóż zaproponowali organizatorzy tym razem? Podobnie jak przed rokiem — cztery wieczory nie dające się sprowadzić do jakiejś spójnej formuły, określającej charakter czy zamysł całej imprezy. Można by powiedzieć, że zamysłem Spotkań jest... brak zamysłu. Posłużę się cytatem ze słowa wprowadzającego Jerzego Jaroszewicza: "Cztery tegoroczne wieczory najlepiej zapewne określa ich wspólny tytuł. Wspólnym mianownikiem jest dla nich jakaś postać muzyki, przy czym zjawiskiem mniejszej wagi wydaje się być to, do jakiego muzycznego **gatunku** można zakwalifikować konkretny wieczór. Istotne dla zamysłu imprezy jest w większej mierze to, iż muzyka w niej po prostu **jest**", (podkr — J. J.). Końcowe zdanie mówi wszystko: cieszymy się idąc do Filharmonii, że zastaniemy w niej jeszcze jakąś muzykę, że muzyka w niej po prostu jest. I to jest formuła otwarta, uniwersalna — wolno łączyć wszystko ze wszystkim — zwalniająca z poszukiwania jakiegokolwiek związku, apoteoza przypadku. Z pełną nonszalancją wy starczy zablokować w czasie koncertu przypadkowo wybrane z repertuaru zaplanowanego na dany sezon, nakleić etykietkę z dowolną nazwą imprezy i odświętna, atrakcyjna impreza gotowa. A ludzie i tak kupią, bo wiadomo — nawis inflacyjny.

Otóż, kupowali tak jakby nie za bardzo; sale Filharmonii wypełniała na kolejnych wieczorach garstka słuchaczy. Od razu muszą sprawiedliwie wyznać, iż nie przepadając za jazzem "odpuściłem" sobie koncert "Sextetu Information" z Tomaszem Stańką i Stanisławem Kulpowiczem. Muzyka jazzowa gromadzi zresztą raczej odrębną publiczność, nawet jeśli rzecz rozgrywa się w szacownych murach filharmonii. Dla właściwych melomanów "filharmonicznych" Białostockie Spotkania Muzyczne zaczęły się wraz z występem Gnieźnieńskiego Chóru Chłopięcego "Szpaki". Nie był to początek szczęśliwy.

Nielicznie zgromadzeni słuchacze spodziewali się zapewne, sugerując się omówieniem programu, takich przeżyć, jakich dostarczają znane chóry wielkopolskie, z zespołami Stefana Stuligrosza i Jerzego Kurczewskiego na czele. Tymczasem okazało się, iż "Szpakom" Wiesława Kisera bardzo, ale to bardzo jeszcze daleko do "Poznańskich Słowików"; nie wiem czy nie dalej, niż to było dziesięć lat temu, kiedy słyszałem sympatyczny wtedy chór w Poznaniu, w jego pierwszych latach istnienia. Główne narzuty, jakie trzeba postawić muzykowi "Szpaków" i które obciążają przede wszystkim dyrygenta, to dziwaczna koncepcja interpretacji wszystkich bez mała utworów. Wiele fragmentów wzbudzało wręcz ogólną wesołość słuchaczy, zmuszonych traktować cały wieczór w kategorii parodii. Myślę tutaj o słuchaczach znających się doskonale na muzyce chóralnej — członkach akademickich chórów Białegostoku. Karykaturalne frazowanie, jakby na przekór muzyce, wewnętrzny chaos w polifonicznej fakturze, niepewne początki i liczne potknięcia intonacyjne, a wszystko to "wsparte" na bardzo rozchwianym, czasem wręcz nieokreślonym pulsie metrycznym — to wady, które nakazują ocenić ów koncert jako wielkie nieporozumienie. Wszystkie trzy chóry akademickie

naszego miasta reprezentują nieporównanie wyższy poziom od Gnieźnieńskich "Szpaków". Czy warto było sprowadzać ten zespół — z takim pytaniem opuszczaliśmy salę Filharmonii.

Wieczór trzeci adresowany był nie tyle do melomanów, co do miłośników teatru studenckiego. Adeptci Wydziału Wokalno-Aktorskiego wrocławskiej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej zaprezentowali umuzycznioną wersją sztuki Stanisława Ignacego Witkiewicza "W małym dworku". Lech Terpiłowski inspirator całego przedsięwzięcia, współreżyser, nazwał swój teatr muzykalnym uzasadniając wprowadzenie partii śpiewanych (z towarzyszeniem fortepianu) zamiarem zintensyfikowania ekspresji, lepszej organizacji tempa i rytmu przedstawienia, zbudowania odpowiedniego klimatu i nastroju. Muzyka skomponowana (często jest to pastisz, czasem wręcz cytaty — jak ów początkowy fragment pochodzący z *Pietruszki* Igora Strawińskiego) przez Jacka Sobieskiego spełniła, jak sądzę, te założenia inscenizacyjne wspierając wybitnie komediową interpretację tekstu Witkacego. Czy tak należy rozumieć tę sztukę, niech ocenią filolodzy. Środki aktorskie spychały spektakl raz po raz ku parodii, co w sumie pozostawało chyba w zgodzie z ogólną dewizą odnoszoną do tego twórcy: mówić poważnie o rzeczach niepoważnych i mówić niepoważnie o poważnych. Wrocławscy studenci podobali się bardziej jako wokaliści niż aktorzy, ale daj Boże wszystkim śpiewakom takie umiejętności aktorskie. W sumie spektakl o większych walorach informacyjnych, poznawczych niż artystycznych.

Ostatni wieczór przyniósł dwa półrecitale: warszawskiego organisty, Wiktora Łyjaka i solistki Teatru Wielkiego w Warszawie, Anny Vranovej. Gra Łyjaka budzi sądy kontrowersyjne; z jednej strony uznanie dla sprawności technicznej, wrażliwości na kolorystykę skłaniającej artystę w rejestracji ku jaskrawym kontrastom, z drugiej — zdziwienie dużą dozą nonszalancji w traktowaniu rytmiki, co irytowało szczególnie w Bachu. Natomiast Vranova zaprezentowała po raz pierwszy w Białymstoku piękne swą głębią i zarazem prostotą *Pieśni biblijne* Antonina Dvořaka. Była to interpretacja czysta, naturalna, całkowicie przystająca do charakteru kompozycji. Szkoda, że orkiestra filharmoniczna nie podjęła się opracowania wersji orkiestrowej tych pieśni, która w połowie wyszła spod pióra samego kompozytora. Wersja z organami to jednak nie to. Białostockim Spotkaniom zabrakło w ten sposób akcentu białostockiego, a zarazem tej dozy atrakcyjności, jaką niesie ze sobą koncert symfoniczny. Stało się to zapewne jeszcze jedną przyczyną znikomego zainteresowania imprezą.

STANISŁAW OŁĘDZKI